

W życiu każdego młodego człowieka przychodzi czas, kiedy myśli o wyprowadzce z rodzinnego domu i usamodzielnieniu się. Człowiek na samą myśl o tym ma głowę pełną pomysłów, powera - nabiera wiatru w żagle na podróż przez życie.

Żaden problem (o ile się pracuje) przejść przez ten życiowy etap jeśli masz dwie zdrowe ręce i nogi. Pracujesz, wynajmujesz stancję, zarabiasz na samochód, dom i krok po kroku budujesz swój świat. Trochę trudniej ten sam cel pokonuje się osobie niepełnosprawnej. Nie jestem w tym temacie przypadkiem odosobnionym.

Świeżo po studiach podjęłam decyzję o wyprowadzce z rodzinnego domu spod maminych skrzydeł. Miałam szczęście, gdyż od czwartego roku studiów pracowałam - oczywiście na stanowisku stworzonym z dotacji PFRONU specjalnie dla mnie, jako osoby niepełnosprawnej, w jednej z warszawskich firm reklamowych. Praca była w domu przy komputerze, wykonywałam ją w ciągu dnia, a wieczorem wysyłałam internetowo do Warszawy. Jestem jeszcze z rocznika, w którym studia trwały 5 lat i kończyły się magisterium, nie było mowy o żadnych licencjatach, bo takowe nie istniały, a że 4 rok był już rokiem, w którym zaczynało się pisać pracę magisterską i niewiele było zajęć, spokojnie godziłam pracę z nauką i pisaniem pracy magisterskiej.



Po obronie pracy magisterskiej (której tytuł do dziś bez zaglądania do niej znam na pamięć - *? Wszystko będzie jak należy, na tym trzyma się świat? - literackie i biblijne motywy źródłem życiowych doświadczeń w powieści M. Bułhakowa ?Mistrz i Małgorzata?* ) zaczęłam myśleć o wyprowadzce. Znaleźć stancję, zorganizować wyprowadzkę (bo o kulach bez prawa jazdy i samochodu sama z ciężarami bym sobie nie poradziła) - trzeba działać.

Jeśli się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. A skoro samodzielność, to do końca - finansowa także. Z racji tego, że mój tato był zawodowym wojskowym, po jego śmierci miałam prawo przejąć po nim emeryturę tylko dlatego, że mam I grupę inwalidzką i całkowitą niezdolność do pracy na stałe. Choć, jak widać, ten przepis nie zawsze ma się do rzeczywistości, gdyż całkowita niezdolność do pracy nie zabrania zarobkowania o ile stworzy się osobie niepełnosprawnej specjalne, indywidualne warunki pracy uwzględniając jej schorzenie, związane z tym ograniczenia i możliwości. Mając taki wachlarz możliwości, pracę, rentę po rodzicu, czemu się nie rozwijać?

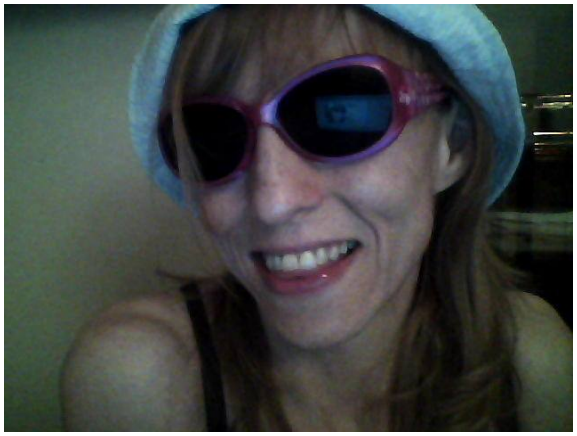
Ale - jak to ja - honorowa przekora uznałam, że chcę mieć własną rentę. Mając I grupę wystarczyło iść do ZUS-u, napisać wniosek, że zawieszam wypłacanie mi pieniędzy z wojska i proszę, by ZUS wypłacał mi pieniądze z tego samego tytułu. Takie prawo mi przysługiwało - o czym dowiedziałam się dopiero parę lat później od sędziego na rozprawie apelacyjnej. Pomyślałam: mam pracę, dostanę własną rentę z ZUS-u, będzie super. Pamiętam, jak jeszcze mama podtrzymywała mnie słowami: ?*Nie przejmuj się, przyznają ci te pieniądze. Jak tobie nie dadzą to komu?* ? Przeliczyłyśmy się obie.



Pani w ZUS-ie w informacji dała mi papierek do wypełnienia i kazała czekać na wezwanie pocztą na komisję lekarską, mimo że pokazałam jej orzeczenie o I grupie. No, ale co ja mogłam? Widocznie pani wie lepiej, w końcu płacą jej za to, żeby wiedziała. W wyznaczonym terminie stanęłam na komisję lekarską i tego dnia mój beztroski raj skończył się na parę lat. Jeszcze dobrze nie zamknęłam drzwi wchodząc do pokoju, w którym była komisja (jednoosobowa), a lekarz pyta: ?*Jakie ma pani problemy w związku ze swoją chorobą?*? Zatkało mnie. Ślepy, czy co? Widzi, że weszła malutka lala o kulach, z widocznie chorymi kośćmi i on pyta, co lali dolega. Kpił, czy o drogę pytał? Widać miał tego dnia ?niehumor?, bo napisał mi zupełnie nowe orzeczenie, tamto uznając za nieważne, w którym zaznaczył, że jestem zupełnie zdrowa i zdolna do każdej pracy. Cholera by człowieka nie wzięła? Mnie wzięła.

Do dziś tłumaczę sobie, że musiał sobie swój ?niehumor? na kimś wyładować. A że trafiła mu się lala o wyglądzie sierotki, która muchy nie skrzywdzi, to padło na sierotkę. Ale sierotka bystra jest. Pobeczała sobie parę dni i wyruszyła na wojnę z ZUS-em, lekarzami, komisjami i sądami. Trwało to wszystko parę lat, podczas których ja się ciągle odwoływałam, by na każdej kolejnej rozprawie dowiadywać się, że odwołanie zostaje odrzucone, a decyzja lekarza orzecznika jest wiążąca. Co gorsza - często sędziowie nie czytają akt spraw, przychodząc na rozprawę

kompletnie nieprzygotowani, co zauważyłam na jednej z kolejnych rozpraw.



Tak minęły cztery lata, na dreptaniu w miejscu bez żadnego efektu. Widząc, że do niczego to nie prowadzi, zaczęłam się zniechęcać do dalszej walki o swoje. To było jak walenie głową w mur. Syzyfowa praca. Już miałam złożyć broń, gdy zaświtało mi w głowie - czemu ja ciągle poruszam się po sądzie okręgowym i trafiam na tę samą sędzinę, która ciągle mnie wywala z niczym? Muszę złożyć apelację! Nie wiedziałam, jak się pisze taką apelację. Od czego jednak są poradnie prawnicze? Poszłam do najtańszej na wydziale prawa. Nawet nic nie zapłaciłam, bo pani w poradni uniwersyteckiej uznała, że ja wszystko wiem. Dała mi tylko wzór apelacji, nie licząc sobie nic za zajęcie jej czasu. Są jeszcze bezinteresowni ludzie na tym świecie! Wzięłam druk wzoru apelacji i następnego dnia apelacja była już w sądzie.

Liczyłam się z tym, że w sądzie apelacyjnym, podobnie jak w okręgowym, również mogę zostać odesłana z niczym, więc nastawiałam się psychicznie na kasację wyroku, poruszenie w telewizji, a nawet dochodzenie swoich praw w trybunale europejskim.

Nadszedł dzień rozprawy apelacyjnej. Miałam niesamowite szczęście, trafiłam na sędziego, dla którego ludzki los jest ważniejszy niż utrzymanie statystyki w ZUS-ie. Wygrałam na pierwszej rozprawie apelacyjnej, a na odczytaniu wyroku sędzia podkreślił: ?*Nie musiała Pani stawać na komisję lekarską, jeśli orzeczono Pani I grupę w 18 roku życia. Ma Pani prawo zawiesić wypłatę świadczenia u jednego płatnika i odwiesić je u drugiego, a mając prawo wyboru, od kogo chce Pani pobierać rentę, to Pani o tym decyduje.*
" Teraz to i ja to wiem.

